

Stary Piernik et France ajourd'hui

Proszę Państwa, nigdy jeszcze nie byłem we Francji. Nie obiecywałem sobie zbyt wiele po tej wyprawie, bo wiadomo było, że będziemy nocować pod Paryżem, jak najbliższej wystawy, wybraliśmy więc Novotel Suite, czyli hotel średniej klasy ze śniadaniem, ale bez restauracji.

Postanowiliśmy, że nie „łykniemy” trasy do Paryża w jeden dzień, więc po drodze nocowaliśmy w Niemczech w okolicy miasta Bielefeld. Razem z naszą Dupą podróżował pies marki Welsh Corgi coś tam, o imieniu Dollar, z własną klatką. Mieliliśmy oddać go na wystawie właścicielce z Irlandii. Oczywiście, nie zarezerwowaliśmy sobie hotelu i spędziliśmy 2 godziny na poszukiwaniu miejsca do spania, ale w końcu się udało i trafiliśmy do hoteliku z wolnym pokojem na drugim piętrze z ażurowymi schodami, co, oczywiście przyprawiło naszą sukę o pewną nieśmiałość. Dollara, podobnie jak zmiana kursu franka szwajcarskiego, w ogóle to nie ruszyło. Nie ma tu o czym opowiadać, poza tym, że szef kuchni pytał mnie czy chcę „naechste piwo”? Bo w hotelu zatrzymywali się Polacy jadący w interesach. W telewizji odbywał się akurat mecz mistrzostw świata kobiet w piłce nożnej, nie pamiętam czy ćwierćfinał czy półfinał, w każdym razie (Niemki wygrały) co jakiś czas dobiegał nas w pokoju ryk z restauracji na dole, gdy padała bramka.

Śniadanie „ganz gut” oprócz kawy, chociaż świeżo parzonej, ale bardzo dawno mielonej albo dawno kupionej. W drogę! Trochę jazdy przez Niemcy, trochę przez Belgię z totalnie obsranymi toaletami, potem Francja. Krajobraz w ogóle się nie zmienił od wyjazdu z Polski, podobnie jak pogoda – deszcz, trochę słońca, znowu deszcz. To chyba objaw poczucia się Europejczykiem. Kilka postojów, psy siku, dla równowagi picie i jedziemy dalej.

Wreszcie dotarliśmy w pobliże Paryża i zaczęliśmy szukać naszego hotelu. Strefa okolic lotniska de Gaulle'a to strefa hoteli, lepszych i gorszych, a poza tym nic! Ktoś wpadł na wspaniały pomysł, żeby tych wszystkich obsrańców (takich, jak my) wysłać w cholerę poza miasto, żeby tam kisili się w sosie własnym. Okolica nie zachęca do spaceru, jest po prostu przechowalnią pasażerów, których umieszcza się w strefie przemysłowej, żeby się przespali, zapłacili i ... odjechali.

Na pierwszy rzut oka hotel wyglądał dość porządnie. Zmyłka! Po zameldowaniu się (bo opłatę trzeba było wnieść na 20 dni przed przyjazdem) otrzymaliśmy kartę, która wszystko otwiera. Żeby wjechać na swoje piętro, trzeba „przejechać” kartą przez czujnik w windzie. Na początek weszliśmy bez psów, tylko z bagażami. Ciach kartą przez czytnik i wciskamy 5, bo takie piętro nam przydzielono. Winda, owszem, ruszyła, dojechała na poziom 2 i stoi. Drzwi się nie otwierają, robi się nam gorąco. Winda rusza sama i zjeżdża na poziom 1, czyli do recepcji. Drzwi się otwierają, ludzie stoją przed windą, ale nie mogą wsiąść, bo my w środku z bagażami z głupim uśmiechem na ustach. Drzwi się zamykają, ja robię w gacie, ale kolejne przesunięcie karty przez tzw. slot i zapala się zielone światelko, jedziemy! Dojeżdżamy na 5 piętro, drzwi się otwierają, ulga. Zaczynamy szukać pokoju. Hotel jest zbudowany na planie czworoboku z dziedzińcem wewnętrznym, a nasz pokój, dziwnym trafem, okazuje się być w najdalszym możliwym miejscu od wind – w którą stronę byśmy

nie poszli, do wind tyle samo. Dzięki (a właściwie „merci”) za uwzględnienie przy przydziale pokoju naszego psa. Dochodzimy do drzwi, a tam klamka na kartę. No, nie jesteśmy jakimiś wieśniakami i wiemy jak się z tym sprzętem obchodzić. „Merde !”. Wkładam kartę w slot... i nic! Wkładam drugi raz – to samo. Wkładam trzeci raz, ale wolniej, może wezmę sukę na delikatność ... nic. Znowu robi się gorąco. Oglądam kartę, wygląda na dość wyświechtaną, na karcie chłopak z uśmiechem, a ja się wkurzam. Nie ma strzałki jak kartę wkładać w slot, nie wiadomo, którą stroną. Wiedziony polską pomysłowością wkładam kartę od dołu – tego producent nie przewidział – karta się wygina ale wchodzi – i znowu nic. To ja ją znowu od góry, ale tym razem szybko, nie będzie Francuz pluł mi w twarz ... nic. Sprawdzam numer pokoju, wszystko się zgadza, wkładam kartę od góry, bardzo powolutku, z czułością... nic. Ach żesz ty suko!!! Idę do wind i zjeżdżam do recepcji – na szczęście i dla mnie i dla hotelu do zjazdu nie trzeba „przejeżdżać” kartą w windzie. Jestem spocony, idę odważnie do recepcji, mówię, że „kaputt”, pan mówi, że zaraz sprawę załatwi i przejeżdża moją kartą przez jakieś urządzenie na swoim biurku, zapewniając, że teraz będzie „o.k.” Wsiadam do windy, na szczęście wsiada też ktoś inny i uruchamia windę swoją kartą. Dojeżdżam na 5 piętro i dochodzę do pokoju, pod którym czeka Beata. Dumny ze swojej stanowczości, wkładam kartę w slot ... i nic. Jeszcze raz... jeszcze raz nic. Czuję się jak Maria Walewska (Napoleonem jest gość w recepcji), jeszcze bardziej spocony idę do windy i jadę na dół. Staram się zachować spokój. Pan w recepcji (Napoleon) mówi, że wezwie technika na moje piętro. Jadę z powrotem, ale ... jestem w windzie sam, muszę ją uruchomić, „ciach” kartą przez slot, wciskam 5 i ląduję na drugim piętrze z zamkniętymi drzwiami. Po kilkunastu sekundach winda zjeżdża na dół do recepcji. Jestem mokry. Po trzeciej próbie winda mruga do mnie zielonym światelkiem i dojeżdżam na 5 piętro. Wysiadam, widzę w korytarzu technika, który idzie w stronę mojego pokoju, jestem szczęśliwy!!!. Spotykamy się przy drzwiach, przy których ciągle czeka Beata. Technik bierze ode mnie kartę, wkłada w klamkę i ... drzwi się otwierają. Wyciągam sobie słomę z butów, udając, że to pokaz pret – a – porter, wchodzimy do pokoju. Nie wierzę w swoje szczęście, Beata zostaje w pokoju, ja wychodzę z kartą sprawdzić gdzie jest punkt G mojej klamki. Po 3 próbach pukam grzecznie, żeby Beata otworzyła mi drzwi. Beata mówi, że teraz ona sprawdzi. Otwiera za pierwszym razem. Teraz moja kolej.

Po 30 sekundach pukam do drzwi.

Kiedy wyschnąłem i ochłonałem zdołałem docenić pokój. Dość duży, normalne łóżko, stolik, fotele, telewizor, Matko Boska! – kuchenka mikrofalowa, lodówka i czajnik. Sprawdzam, czy nie są przypadkiem na kartę. Jest o.k. Wiedziałem, że te sprzęty będą, ale i tak jestem pełen podziwu, że działają. Działa też klimatyzacja, co nie jest bez znaczenia w tych szybko budowanych hotelach z prefabrykatów, gdzie w słoneczny dzień temperatura doszłaby do 40 stopni. Są też niespodzianki – internet w telewizorze – wybaczam Napoleonowi z recepcji.

Ponieważ było dość wcześnie, przejechaliśmy się w kierunku wystawy, żeby następnego dnia ułatwić sobie życie, nic szczególnego, ogromny teren z halami, ale przynajmniej wiemy gdzie jechać. Wracamy do pokoju z Dupą i Dollarem. Mieliśmy nadzieję, że właścicielka zgłosi się po swojego pupila jeszcze tego samego dnia

wieczorem, ale widocznie Dollar nie był jej pupilem, bo zadzwoniła, że już późno i spotkamy się na wystawie. Ponieważ Dollar jest przeuroczym bezobsługowym psem, nawet niespecjalnie się wkurzałem. Na dowód swojego niewkurzenia zszedłem do baru i wytrąbiłem 3 piwa. Drogo!!! Próbowaliśmy też zjeść coś w nieodległej restauracji, ale ponieważ nie wpuszczają tam z psami i nie podają alkoholu, poczuliśmy się urażeni i nie skorzystaliśmy.

Kiedy rezerwowałem hotel przez internet zostałem zachęcony do wykupienia „świetnego, zbilansowanego śniadania, przygotowywanego specjalnie przez szefa kuchni dla moich wygórowanych wymagań”. Wykupiłem. Szefie!

W kawiarni hotelowej stoi duża witryna chłodnicza. W witrynie w plastikowych pojemniczkach (nie „pojemnikach”) można znaleźć „świetnie zbilansowane” mleko z ryżem, płatki śniadaniowe, których nie cierpię, kanapki wielkości ptasiej kupy i kawałeczki (kawalusie) wędlin aż świecących konserwantami, wszystko prawdopodobnie pakowane w Hong Kongu tydzień temu. Znowu wybaczyłem (coraz bardziej rozumiejąc Marię Walewską) z powodu bardzo dobrej kawy i croissant'ów.

W 10 minut dojechaliśmy na wystawę i jak zwykle zostałem z psami w samochodzie a Beata poszła szukać naszego ringu. Jak wspominałem jest to rozległy teren przemysłowy, więc już po godzinie Beata wróciła. Ciągle był z nami Dollar, więc uznaliśmy, że czas już zmienić tę sytuację, chociaż to tak wspaniały pies. Po trzeciej próbie udało się nam dodzwonić do właścicielki, ale akurat sędziowała coś tam i nie była dostępna, odebrała jej koleżanka. Po kolejnej godzinie, niedługo przed naszym czasem wystawiania, udało się nam przekazać Dollara i ruszyliśmy na ring. Z parkingu do naszej hali około 1 kilometra. Nie mieliśmy planu wystawy i zaparkowaliśmy prawie w najdalszym możliwym miejscu, ale w końcu doszliśmy. Nie będę się rozwodził nad wystawami w hali, bo już kiedyś o tym pisałem i tym razem też jestem zdania, że to pomyłka. Przyznaję jednak, że mimo ignorowania przez wystawców faktu, że ich psy nie potrafią zatkać sobie odbytu, było dość czysto dzięki ekipom sprzątającym, natomiast poza halami – gównem na gównie. Żeby zamknąć pierwszy dzień wystawy powiem, że Dupa była czwarta.

Po wystawie nastąpił mój czas – zakupy!!! Jechaliśmy na ślepo, ale w końcu dotarliśmy do Cerrefour. Ale, ale – wokół żadnej bladej twarzy. Powiedzmy, że z powodu upału Beata została w samochodzie z psem. Ja wyrwałem wózek i pędzę do sklepu ... i już nie pędzę, bo mój wózek ma jedno kółko płaskie i stuka, ale co mi tam, nie będę się przejmował stukającym wózkiem. Po wejściu do sklepu stukot przechodzi w łomot na podłodze z płytek. Żadne słowa tego nie oddadzą – człowiek o wyróżniającym się w sklepie kolorze skóry z łomoczącym wózkiem, nie, walącym jak młot pneumatyczny wózkiem, który jest prawdopodobnie jedynym walącym wózkiem w całej Francji. Nadrabiając miną waliłem wózkiem po całym sklepie i, wierzcie mi, nie było człowieka, który by się nie obejrzał co to za kretyn tak wali. Na szczęście miałem jeszcze trochę słomy w butach więc mnie nie wyrzucono.

Obzarliśmy się i opiliśmy tymi zakupami (głównie ja się opilem) ale bagietka z jakimś pleśniowym serem i dobrą szynką to jest coś!

Zanim jednak dotarliśmy z zakupami do pokoju, musieliśmy gdzieś zostawić pojazd. Tym razem nie było wolnych miejsc na parkingu przed hotelem i trzeba było zjechać do garażu. Jest to dość mroczne miejsce i nie polecam go osobom z

klaustrofobią, ale parkuje się przyzwoicie, miejsca są dość duże.

Następny dzień zaczął się oczywiście od „świetnie zbilansowanego śniadania” dlatego pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem na wystawie było kupienie bagietki z szynką. Jednak, żeby dojechać na wystawę, trzeba było wyjechać z garażu. Nic prostszego? W recepcji wyposażono mnie w kartę do urządzenia otwierającego bramę, ale to tylko obudziło moją czujność. Wyjechałem z miejsca parkingowego i zmierzam w stronę wyjazdu. Przed bramą urządzenie, na którym jest napisane „zachowaj swoją kartę do wyjazdu z terenu hotelu” - pewnie, głupi nie jestem. Wkładam kartę do urządzenia, coś się tam w środku dzieje, chrupie, nagle karta pojawia się w otworze, w który ją włożyłem i wylatuje niczym Małysz z progu w kierunku mojego okna. Rzucam się na nią, ale Małysz nie zatrzymasz w locie. Ruchem spiralnym karta łagodnie opada na posadzkę garażu. Czy próbowaliście podnieść coś z ziemi z siedzenia minivana? Przy drzwiach uchylonych tylko na 10 cm, bo szersze otwarcie blokuje automat, który strzela biletami? Gdy za wami czeka kolejny samochód próbujący wyjechać z garażu? Francja dostarczy wam tych wrażeń.

Na wystawie było dużo przyjemniej niż pierwszego dnia, bo nie wystawialiśmy się, ale szukaliśmy narzeczonego dla naszej Dupy. Oczywiście zdjęcia się nie udały i nie ma specjalnie czego publikować na stronie internetowej, ale wróciliśmy bogatsi o 3 dry-bedy, prosto z Londynu. Kup na terenie wystawy było oczywiście o tyle więcej o ile psy dosrały, ale w halach nadal czysto.

Po wystawie znowu zakupy, tym razem na poważnie, czyli piwo, wino i sery, żeby następnego dnia (czyli w sobotę) nie stać w kolejkach, w hotelu parę piw w barze i kolejne wielkie żarcie z bagietką jako tematem przewodnim.

Rano - „cudownie zbilansowane śniadanie” i potyczka z automatem do biletów w garażu. Pokonałem dziada – zatrzymałem Małysza na progu blokując ręką wylot wyrzutni biletów. A potem podróż nudząco przewidywalnymi autostradami aż do polskiej granicy. W Polsce obserwacja pracy drogowców – mijaliśmy kilka ekip pracujących na drogach, w żadnej z nich nie pracowało więcej niż 30% składu. Na każdych 10 pracujących 3 coś robi, a 7 zastanawia się na dobrym wykonaniem roboty.

Wnioski:

Rozumiem, że można kochać elektronikę i te różne czujniki i czytniki, ale uważam, że nie należy dawać władzy kochance, która niedomaga.